

BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

6

Jabłonowski zbliżył się do wskazanego miejsca.
— Kto tu? Zarzycki?
— Według rozkazu, panie poruczniku.
— Hm! I cóż?
— Zdaje się, że śpi!
— No-no! Osobliwe zdarzenie... I to dzieciuch jeszcze...

— Niema się po co schylać! — wtrącił pogardliwie Surmacki. — Za dziesięć lat może z tego wyrósł niewiasta!

— Trzeba z nią coś zrobić. Skoro podpułkownik kazał... Szkoda, że acan nie przypomniał o niej, gdy rannych wyprawiano.

— Nie śmiałem podpułkownika.

— Z raportujesz, jak powróci.

— Uważam.

Tymczasem wieść o dziewczynie rozczmychała do reszty baterię. Dokoła Zarzyckiego kupiła się gromadka co ciekawszych i jęła zerkać natrętnie ku skulonej na derce postaci, rozprawiać a żartami i konceptami sypać. Surmacki rej wodził.

— A cóż, dziwować się niema czemu!... Cyganicha i już! Przypięła się to i dosyć. Taka zawsze potrafi z dyablem pospołu i Zarzyckim w odwodzie.

— Bajesz od rzeczy! Cygaństwo ci się przysniło.

— Widzicie go! Mnie powiadać będzie... Czekać! Hej — Radoński, choć sam!... Pamiętaj, jakżem ci wódki kupowałem u markietana, gdyśmy stali, temu będzie tydzień, w Rożanie?

Wezwany przez Surmackiego konnowodny Radoński wysunął się ku przodowi.

— A jakżeby! Siwucha taka była tęga, że niech go...

— Baczysz że jeszcze, u którego markietana piłiśmy?

— Jakby nie! Wszak ci u Piotra Jagi cygana, co to jeszcze pod obozem powązkowskim...

— Doskonale! Tedy przyjrzyj no się tej dziewczynie i wspomnij a dobrze, czyli ją widziałeś.

Radoński podsunął się ku leżącej, nachylił nad skuloną a pławiącą się w świetle księżycy postacią i zakrzyknął z przekonaniem:

— Toć Zula!

Postać skulona zadrżała.

— A co, a nie mówiłem! — zakrzyknął z tryumfem Surmacki. — Jużci Zula a nie żadna zaczarowana królewna. Markietańskie dziecko, włóczydroga cygańska.

— I gdzieżby — widział że kto kiedy jasnowłosą cygankę!

— Tak! A o albinosach słyszałeś? Nie — no, to nie pleć lada czego.

Zarzycki głową kręcił a poglądał ze współczuciem ku leżącej postaci.

— I wymyśliłeś zaraz historię.

— Baczność, chłopcy, imć pan Dyonizy Zarzycki prosi was na zrękowiny.

— Nie plótił byś, nie natrząsał z dzieciaka.

— Ani trochę! Bardzom rad, że do gotowego przyjdiesz i z kilku dywizyami odrazu wejdiesz w parantelę.

Skupieni dokoła Zarzyckiego wybuchnęli śmiechem.

— A tobie zazdrość.

— Mnie, niby o tą...

— Może nie! A nie nastreczyłeś się z deską, nie podesłałeś jej! Nie wysączyłeś jej manierki! Zaprasz się?

— Niby ja? — zmieszał się Surmacki, zaskoczony rehotem całej gromady.

— A kto — Dybicz? Znamy się. Nie darmo drzesz się do ułańskiego mundurka, do złotych wyłogów, do rogatej czapy. Na amory ci się zbiera, a tu nie mogąc urodą straszyć, radbyś ułańskiem wcięciem! I zazdrość ci, że ta nawet, co się baterii nastreczyła, na cię i nie spojrziała...

— Mnie o tę... tę!

— Nie kręć — wybuchnął zapalczywie Zarzycki — bo dla mnie taki wiechetek babskiego autoramentu tyle, co wczorajszy deszcz. Użaliłem się półkurczęcia smarkuli cygańskiej, czy jak tam, bo podpułkownik, chciał. Kto sperki zakosztował, ten się na chude nie złowi.

— Boli cię kares, coś go u Honoratki od Rózi malowanej dostał!

— Ani słowa więcej!

Surmacki czapę na ucho nasunął i ujął się pod boki.

— Cha — cha! Trafiło cię! Blizna ci się na policzku otwarła.

Zarzycki porwał się do pałasza, lecz w tejże samej chwili wpadł między gromadkę kapitan Orlikowski.

— Milcz tu jeden z drugim. Marsz na miejsce!... Precz!...

Gromadka rozpadła się na części.

— Kto tu? Surmacki! Służba, do krośset! — Milcz! — Co tu za kłótnie? Jak śmiesz?...

— Właśnie...

— Milcz tu jeden z drugim!... Gdzieś się acan karności uczył? He? — Co? Dosyć — ani mru mru! Podoficer! Galony oberwę, na cztery wiatry przepędzę! Do piechoty, do ciurów, do szczygłów, między fałdy, między cywile acan pójdiesz! Armaty nie zobaczysz, panie dziu!...

Po wyrzuceniu tej najokrutniejszej swej groźby, kapitan obrzucił wypreżoną sylwetkę Surmackiego piorunującym spojrzeniem i odszedł.

Surmacki otrząsnął się, zerknął w stronę, kędy Zarzycki, z cicha pęk, niby wysuwkę celownika opatrywał — i przysiadłszy na łóżysku swego granatnika, jął bimbać lekceważącą nogą, a syczeniem gwizdanie symulować.

Nagle w pobliżu ozwał się przyciszony głos z pod wózka amunicyjnego:

— Surmacki — hej!

Podoficer ruszył się ociężale i pod wózek nachylił.

— Trzeba czego panu grafowi?

— Nie — dziękuję. — Jakoś mi odtajała noga.

— Namoczyć może gałganów?

— I nie! A czego to chciał od ciebie kapitan?

— A no do krzyża mnie przedstawił za balalię...

Leżący zaśmiał się.

— Bodaj cię, zawsze ci się żarty trzymają.

— I dobrze, inaczej bowiem zdechłbym ze szczęścia do ludzi...

— Koloryzujesz znów.

— Albo nie! Przenoszę się. Artyleria konna nie dla mnie,

— Wszak ci najtęższa broń! Choćby dzisiaj?! A naszych dużo padło?

— Co tam liczyć — komu sądzono.

— A podpułkownik?

— Do głównej kwatery wezwany. Powiadają, że krzyże przywiezie. Wachmistrz słyszał, jak powiadał do Łabanowskiego, że pierwszy Iliński weźmie!

Leżący na ziemi poruszył się niespokojnie.

— Mnie pierwszego krzyża.

— Sprawiedliwie ci się należy!

— I Zarzyckiemu przedewszystkiem.

Surmacki podniósł głowę i zerknął znów ku siedzącemu w oddali Zarzyckiemu.

— Temu przedewszystkiem się należy! Ho, ho i nie minie go!

— Widzę, że ci się kuczy znów. Zajrzyjno do mego sepecika. Myśle, że tam jeszcze coś musi być.

— Nie widzi mi się — odparł kwaśno Surmacki.

— Jakże, toć przed ruszeniem...

— Tak, aleś grał tak mi zaczął kwękać, że ci zwilżyłem, a resztą sobie zadymione gardło wypłukałem.

— Niech ci będzie na zdrowie. A nie macie wody?

— Jest cała rzeka, ale ani myśli. Nie puszczają na krok z pozycji. Ale niech tylko księżyc nieco zmruży, a już potrafię, co potrzeba, znaleźć.

— Chciałbyś! — zagadnął niepewnie Iliński.

— A cóż proszę grafa — mruknął ponuro Surmacki — ma piechur maruder znaleźć albo saper grabarz się obłowić, to lepiej żeby się temu dostało, co rzetelnie zarobił.

III.

Bem ledwie po północy wrócił z rady wojennej. Wrócił roztargniony czegoś, zamyślony czy utrudzony, bo zbyt kapitań Orlikowskiego kilku słowy o awangardzie, którą bateria ma trzymać z ułanami i udał się na spoczynek do szopy, kędy ordynadnsi takie postanie mu wygotowali.

Tu atoli, miast zasłużonego wczasu użyć, łuczywo kazał ordynansowi za belkę zasadzić i ze skrzynek podrożnej zwoju map i papierów dobywszy, jął je rozkładać na klepisku, przeziarać i znaczyć szpilkami.

Dopiero, kiedy wszystkie mapy ponakłuiwał a dokoła siebie rozpostarł, dopiero przysiadł w pośrodku i na skrawku papieru zaczął z map liczby zbierać, wypisywać i rachować je.

A być to musiała kalkulacja nie łatwa do zli-

czenia, bo pułkownik zastanawiał się, wodził palcem po zygzakach map, przepinał szpilki, coraz to inne cyfry kreślił, powiększał je, odejmował, odcierał potem zroszone czoło, wypoczywał i znów do map się zwracał.

Aż naraz oczy mu się rozpałyły, a fala krwi, nie mogąc przedostać się na bliznami oblepioną twarz, purpurą zalała mu wyniosłe, łysawe czoło.

— Więc się nie omylił. Była droga i do korpusu Giełguda i na Litwę! Droga była wolna... Żeby feldmarszałek całą swoją armię na zastawienie sieci rozstawił, nie poradziłby, nie zdołał... Jeden, dwa, trzy kontrmarsze wykonać. Zbębnić kilka podjazdów i w tydzień armaty zagrałyby nad Niemnem! Na tyłach Dybicza stanęaby druga armia! Trzydzieści armii, któreby darty aryergardę, niszczyły magazyny, odcieły posiłki! A potem iść, iść w głąb, piorunem iść, bodaj za Dźwinę... i prze-trwać tak bodaj trzy, cztery miesiące! Prądyński się opierał, nie wierzył. Skrzynecki ledwie uległ... Jeden Dembiński opowiedział się za nim, a raczej ozwał się za Bemem! Ozwał się i sobie dowództwo zagarnął. Wyrwał mu myśl i za swoją podał... Teraz może rusza już do Giełguda z rozkazem. Czy dokona! A potem, gdy się z Giełgudem połączy!... Dembińskiemu roi się naczelné dowództwo. Żołnierz odważny, gotów się przerabąć ze szwadronem jazdy. Lecz nie w tem rzecz, nie w tem! Prądyńskiemu oczy się śmiały. Znow jednego się pozbył przeciwnika!...

Bem powiódł wzrokiem po rozłożonych mapach i westchnął smutnie.

— Cały jego plan poszedł w niwecz. Od miesiąca go układał, układał go wówczas, gdy generał Chłapowski jeszcze do wyprawy swej się nie gotował. Potem, kiedy Chłapowski ruszył — już z zamysłów swoich skwitował. Nie posiadał ani stopnia, ani dostępu do rady wojennej, ani prawa do mierzenia się z Chłapowskim. Teraz, dzisiaj dopiero usłużyło mu niedołęstwo Giełguda. Gra była pewna. Skrzynecki przecież rad był dokument nieradności przekuć na dowód głębokiej strategii! Przegrana bitwa ostrołęcka była wygraną, bo Giełgud poszedł na Litwę, aby z Chłapowskim porwać lud, aby drugą wojnę wszcząć...

Bem rozśmiał się gorzko.

— Dembińskiemu się zwierzył przed radą wojenną!... Cha, a niegdy przyjaciel jeszcze z czasów Księstwa Warszawskiego, nie zawiodł, i tak energicznie plan jego przedłożył, iż o Bemie ani słyhu nie było! A kiedy już dla siebie tego tylko zadowolenia pragnął, aby Dembiński odeń jego wypracowane, przesłęcane plany wziął — zbyt go wyniosłe oświadczeniem, że ma własne i dokładnie zbadane i oddawne. Pyszałek! Niechby jego była, niechby zdołał! Tak, tak, bo inaczej tu, jeno ostatniego spodziewać się można ciosu, jeno klęski cięższej, niż dzisiejsza, jeno konania.

Starczy jeżeli Dybicz przejdzie Wisłę, jeżeli pierścieniem następować będzie, jeżeli zamknie tę okruszynę wolnego przestworu, który pozostał... Niechby, niechby Dembińskiego była sława, niechby jego w tem była chwala.

Bem targnął się, jakby przemocą oczy od map oderwał, podniósł się i spojrzął przed się.

W rozwalonej ścianie szopy łysnęła ku pułkownikowi blacha czapy artyleryjskiej.

— Kto tu?

— Zarzycki, podoficer trzeciej kompanii — ozwał się niepewny głos.

— Co to — czego?

— Według raportu, panie pułkowniku.

— A — cóż takiego?

— Pan porucznik kazał mi się opowiedzieć do pana pułkownika i prosić o rozkazy, co uczynić z Zulą?

Bem brwi ściągnął niecierpliwie.

— Z kim? Mów wyraźnie...

— Z cyganichą, proszę pana pułkownika, niby z tą, którą pan pułkownik zlecił wachmistrzowi...

Bem potarł czoło.

— A! Prawda i cóż się z nią stało?

— Nic — dycha pod armatami na derce, ale chyba ogłuchła, jako niezwyčajna artylerii, bo ani się ozwie.

Bem, któremu teraz dopiero stanęła przed oczyma przygoda uwolnienia dziewczęcia, zdziwił się szczerze, dowiedziawszy się od Zarzyckiego, jak bitwę przetrwała.

— No-no! I cało, mówisz, wyszła?

— Tak się widzi. Słapiami przewraca, ale nie piśnie.

— Zuch dziewczyna.

— Bez urazy pana pułkownika, biedactwo wychudzone, że niema co w jedną garść zebrać.

Pułkownik wykrzywił usta do uśmiechu, ileż